

# Morten, Emilia

## i zaginione światy

Reeli Reinaus

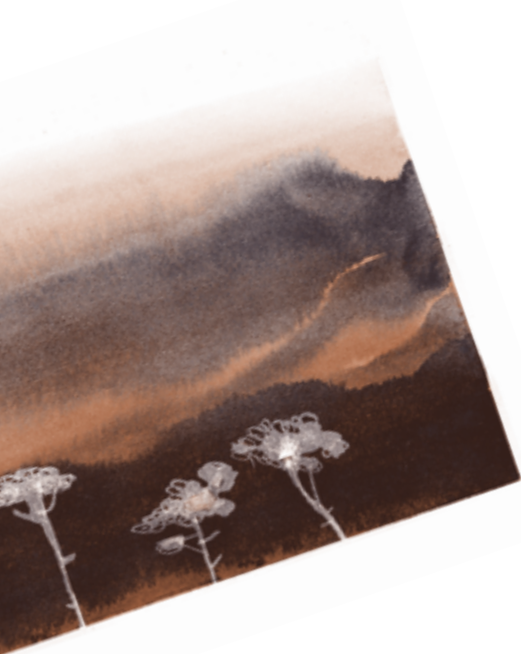
Ilustrowała Marja-Liisa Plats

Z języka estońskiego przełożyła  
Anna Michalczuk-Podlecki









Purpurowa tarcza słońca wisiła nad horyzontem i barwiła niebo na delikatny, różowopomarańczowy kolor. Skartowacięte na torfowiskach, poskręcane sosny wyglądały z oddali jak ciemne, nieco groteskowe, ale jednocześnie złowrogie sylwetki, których cienie mieszały się z pobłyskującymi gdzieś niegdzie oczkami wody.

Na krótką chwilę ten widok wypełnił go dziwną tęsknotą. Wiedział, że gdyby zamknął oczy, mógłby sobie wyobrazić, że jest w dowolnym miejscu na świecie. Wokół panowała absolutna cisza. Tylko od czasu do czasu z daleka rozlegały się przesywające duszę okrzyki żurawi, nie milknęło też nużące brzęczenie komarów.

Dochodzące z pobliza trzaśnięcie przywróciło go do rzeczywistości. Ktoś zamknął właśnie bagażnik auta.

Morten rzucił ostatnie spojrzenie na zachodzące słońce i żwawym krokiem ruszył w kierunku samochodu.

Gdy się zbliżał do pozostałych, Juhan czubkiem buta gasił niedopałek papierosa, a Andreas siedział już za kierownicą, nieco nerwowo spoglądając na nadchodzącego Mortena.

– W porządku? – odezwał się Juhan.

Morten skinął głową.

– Wszystko okej.

– To jedźmy – powiedział Andreas, opuszczając szybę w aucie. – Zdążymy jeszcze napalić w saunie.

– Tak, tak – odparł Morten, rzucając aparat na siedzenie obok kierowcy i zamykając za sobą drzwi.

Musiał jeszcze coś zrobić. Jedną rzecz.

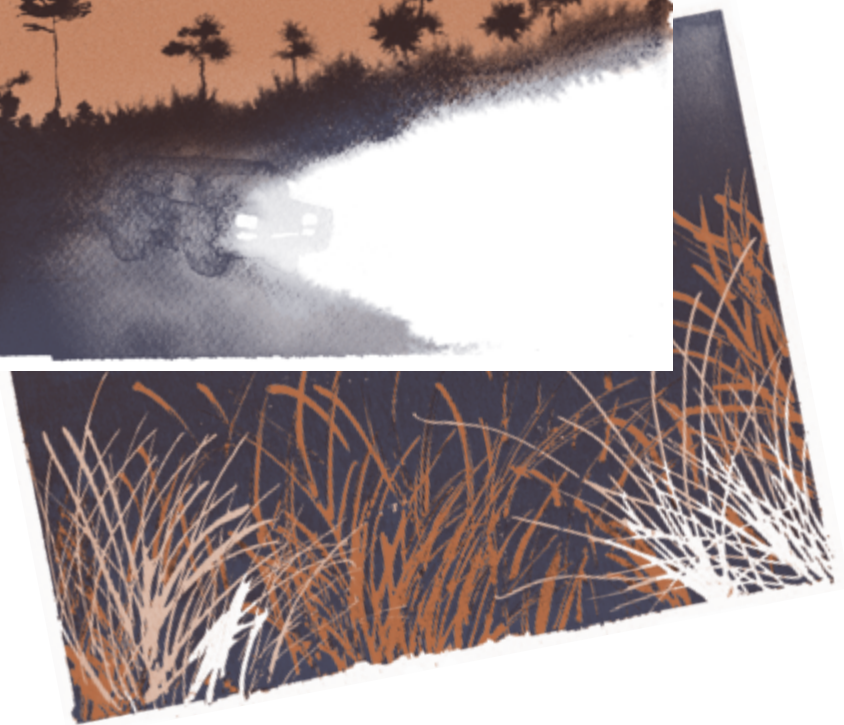
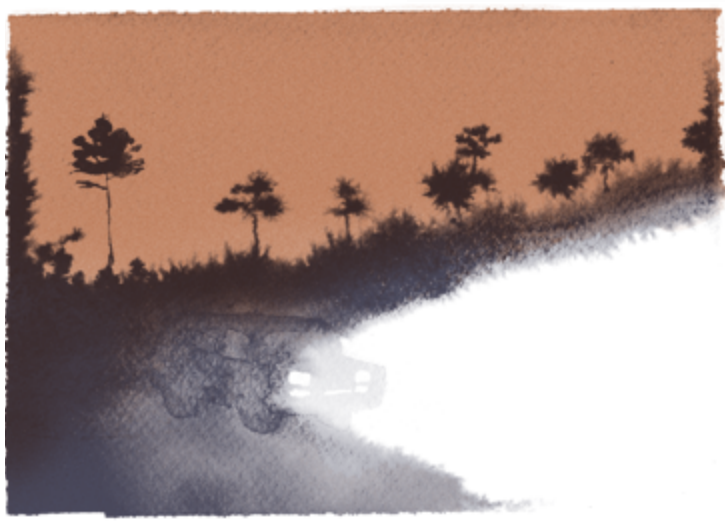
Otworzył bagażnik samochodu i rozsunął nieco zamek pokrowca. A potem wyciągnął dłoń i delikatnie jej dotknął.

Na mgnienie oka znów tam był. W przeszłości. Przed oczyma stanęła mu twarz dziewczyny, a do nozdrzy wtargnęła woń torfowiska. Nie tego, innego.

Tego, o którym od czasu do czasu nadal myślał.

Morten zasunął suwak i wytarł palce z ziemi.

– Dobra, możemy jechać.



## 1.

**M**orten prześlizgiwał się obiektywem aparatu po oknach bloku. W niektórych paliło się już światło i widać było poruszające się w nich sylwetki. W pozostałych oknach było jednak ciemno – może część mieszkańców nie wróciła jeszcze do domu, a może ktoś miał swoje powody, by pozostać w ciemności.

Mortena tak naprawdę nie interesowało, co robią ludzie, których akurat widział, albo dlaczego w niektórych mieszkaniach nie zapalono lamp. Przyglądał się oknom tylko z dwóch powodów. Po pierwsze, przywykł do obserwowania świata przez oko aparatu fotograficznego, a po drugie, wiele by dał, by znaleźć się teraz w którymś – obojętnie w którym – z tych mieszkań.

Po prostu dlatego, że byłoby tam ciepło. Ciepło i przyjemnie.

Morten zamknął oczy i przez chwilę próbował sobie wyobrazić, że jest w jasnym, ogrzonym pomieszczeniu. Nie udało mu się to zbyt dobrze, bo w tym samym czasie pod cienką kurtkę wciskał się przeszywający wiatr. Morten otworzył oczy i z powrotem umieścił samego siebie w mieszkaniu należącym

do obcych ludzi – a także w ich życiu, z oddali wyglądającym na tak idealne.

Gdy przy pierwszych kroplach deszczu chłopak chował do plecaka aparat fotograficzny, zauważył, jak jakiś duży, czarny i widać niedawno zagubiony pies rozpaczliwie krąży po chodniku, szukając swojego pana.

Jak daleko Morten sięgał pamięcią, od zawsze marzył, by zostać czarodziejem. Kimś, kto potrafiłby spełniać życzenia jednym ruchem magicznej różdżki. Gdyby naprawdę nim był, sprawiłby, że pies i jego właściciel zaraz by się odnaleźli. Teraz jednak nie mógł uczynić nic więcej, niż tylko po cichu współczuć psu. Mieć nadzieję, że zwierzę szczęśliwie odnajdzie drogę do domu.

Jeśli będzie w stanie. Bo właśnie w tym momencie pies dość bezmyślnie przebiegł przez ulicę, o mało nie wpadając pod koła czerwonego jeepa. Morten znów zamknął oczy, w uszach nadal słyszał jeszcze pisk hamulców. Nie chciał wiedzieć, co będzie dalej.

Jako mały chłopiec często bawił się w czary. Potrzebna była do tego tylko jakaś gałązka i wyciągnięta z szafy mamy jej stara spódnica, którą można było rozciąć i owinąć się nią jak peleryną. I oczywiście moc wyobraźni.

Morten czasem nadal jeszcze marzył o tym, by osiąść sztukę czarowania. Choć od dawna nie bawił się w czarodzieja. Za to wydarzeń i rzeczy, które chciałby zmienić, było w jego życiu coraz więcej.

Gdy tym razem Morten otworzył oczy, po psie nie było śladu. Chłopak spojrzał na zegarek. Do autobusu miał jeszcze



pół godziny. Ziąb wdzierał się w każdą cząsteczkę jego ciała, ale przecież nie miał dokąd pójść. Nie mógł wejść do hali dworca, bo zapachy z tamtejszej kafeterii doprowadziłyby go do szaleństwa. A on musiał wytrzymać jeszcze całą drogę do domu. Po prostu musiał. Urmas na pewno jak zwykle usmażył sobie ziemniaki, ale i on da jakoś radę przeżyć ten kolejny dzień.

Z myślenia o jedzeniu nie wynikało nic dobrego. Od obiadu w szkole minęło już ponad siedem godzin i Mortenowi dukała pusty żołądek. Ale chłopak nie miał więcej pieniędzy niż na przejazdy autobusem do końca miesiąca. Nie mógł z nich wydać ani centa. Naprawdę ani jednego centa.

Otrząsnął się z własnych myśli, gdy raptem coś szturchnęło go w kolano. Zdumiał się, bo natknął się na spojrzenie tego samego czarnego psa, który jeszcze parę minut temu uniknął potrącenia przez samochód. Zwierzę wpatrywało się w niego swoimi wielkimi brązowymi oczami, jakby prosząc o pomoc. Morten wyciągnął rękę i dotknął ostrożnie jego łba. Pies zbliżył się o parę kroków i dość przyjaźnie obwąchał ludzką dłoń.

– Tylko mnie teraz nie ugryź – odezwał się Morten do psa i chwycił go za obrozę. Przekręcił ją trochę i zaraz znalazł to, czego szukał. Na obroży widniała metalowa tabliczka z wygrawerowanym numerem telefonu.

Dwadzieścia pięć minut później Morten siedział już w autobusie i z apetytem zjadał zapiekankę. Z początku grzecznie odmówił, gdy mężczyzna w średnim wieku, który przyszedł po psa, łysawy i z kozią bródką, chciał w podzięcie wcisnąć mu do ręki pięćdziesiąt euro. Ale nieznajomy naciskał, więc

chłopak w końcu wziął pieniądze. Nie był w stanie zrobić tego za pierwszym razem, choć strach, że właściciel psa drugi raz tego nie zaproponuje, niemal ścisnął go za gardło.

Morten policzył, że jeśli codziennie po szkole kupi sobie jedną drożdżówkę i banana, wystarczy mu tych pieniędzy na prawie półtora miesiąca. Przełknął ostatni kęs i uśmiechnął się szeroko do swojego odbicia w szybie. Dzisiejszy dzień pokazał mu, że nawet z beznadziejnej sytuacji jest jakieś wyjście.



Przed pójściem spać Morten przekreślił kolejną kratkę w kalendarzu. Znowu jeden dzień mniej. Żył tylko z dnia na dzień. Tak było prościej. Najważniejsze to przeżyć jakoś jeden dzień. A potem następny. Choć o kolejnym myślał dopiero wieczorem, gdy leżał w łóżku. A i wtedy najbardziej zadowolony był z tego, że udało mu się dotrzeć do tej chwili. Że nie dał się złamać.

Zbyt daleko naprzód nie mógł wybiegać myślami, bo tracił wtedy z oczu swój cel i się rozpraszał. Mógłby wtedy łatwo wpaść w złudną sieć marzeń i chęć użalania się nad sobą – i nie byłby w stanie skupić się na tym, by przetrwać.



## 2.

**N**astępnego dnia Morten znów tam był. W tym samym autobusie, w tym samym mieście, no i w tej samej szkole. W szkole, w której był kimś obcym. W mieście, w którym też był obcy. Dążąc do życia, które też tak naprawdę było mu obce. Ale którego pragnął. Bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Bo było jedynym ratunkiem. Jedyłą nadzieją, jaką jeszcze miał – na wyjście z tego bagna, jak nazywał życie u swojego wuja. To przed tym matka uciekła już dawno temu.

Z początku wszyscy w nowej klasie Mortena traktowali go z nieufnością. Bo pochodził dosłownie z zabitej deskami wsi. Nie był synem bogatego rolnika, nie mieli dużo ziemi ani koni, a on nie miał nawet porządnego roweru. Byli tak biedni, że Mortenowi w nowej szkole przyznano darmowe obiady, a zimą nosił wciąż te same, przemakające buty.

Pomimo to Morten dostał od nowej klasy szansę. Nikt go nie nękał ani nie ignorował, na początku dali mu po prostu czas, jedynie obserwując go ukradkiem, by się dowiedzieć, kim on w ogóle jest. A Morten robił wszystko, by wydać im się

jak najzupetniej normalny. Ale nie stał się też ich najlepszym kumplem. Z tej prostej przyczyny, że zwykle nie miał kasy, by wyjść gdzieś z nimi po szkole – skoczyć do kina albo pójść coś razem zjeść. Nie mówiąc o tym, by miał się z nimi spotykać w weekend. Pewnie dlatego nadal czuł się wśród nich obcy i dziwny. Taki, który chce czegoś więcej, choć nie jest tego wart.

Na to, że w klasie traktowano go dość życzliwie, było wytłumaczenie, tak przynajmniej sądził Morten. Po pierwsze, uczył się jak szalony i był w klasie jednym z najlepszych. Po drugie, miał prawdziwy aparat fotograficzny. Jasne, dzisiaj każdy może swoim telefonem pstrykać tyle zdjęć i kręcić tyle filmików, ile dusza zapragnie, ale profesjonalny aparat to jednak coś. Poza tym Morten miał oko do fotografowania i filmowania. A to była umiejętność, której nie mógł, ot tak, kupić sobie nikt z jego klasy za żadną cenę – choć większość wyjeżdżała na wakacje, i to nie tylko na Teneryfę czy do Turcji, ale także do Azji czy Ameryki Południowej.

Morten kupił aparat parę lat temu za pieniądze, które dostał w spadku po dziadku. Sprzęt był drogi, ale dzisiaj także nie podjąłby innej decyzji. Aparat i dobre oceny były jego jedyną przepustką do innego świata. Lepszego niż ten, w którym żył już od trzech lat. Począwszy od roku, kiedy najpierw umarła babcia, krótko po niej dziadek, a ich dom, w którym Morten mieszkał z dziadkami i swoją matką, trafił w ręce jej starszego brata, wuja Urmasa. Wystarczyło te parę lat i cały ich świat stanął na głowie. Urmas najpierw wyprzedał co cenniejsze rzeczy, pieniądze przepił, a potem pozwolił, by gospodarstwo podupadło.

Chata, drewnutnia, podwórze, to wszystko, co Morten uważał za swój dom, zmieniło się nie do poznania. Tak samo jak nie do poznania zmieniło się jego życie, gdy rok temu matka zaczęła pracować w Helsinkach, by zarobić na wyprawdzkę od Urmasa. By wyprowadzić się z własnego domu, myślał czasem Morten z goryczą, choć jednocześnie wyczekiwał tego dnia.

Zadzwoił dzwonek na przerwę i Morten prędko wrzucił podręcznik i ćwiczenia do plecaka. Obiecał Andreasowi, że pomoże mu między lekcjami poroznosić ulotki. Rada uczniów szykowała jakąś akcję.

Tak, miał teraz w klasie nawet paru kumpli. Albo kogoś w tym rodzaju. Nie spędzał z nimi wolnego czasu, bo nie miał na to kasy, a gdy proponowali, że mu coś postawią, nigdy się nie zgadzał. Nigdy nie był u żadnego z nich w domu. Nie chciał. To, co mógłby tam zobaczyć, potem tylko by go prześladowało, porównywałyby, jak mieszka on, a jak oni, i wpadałby w coraz większe przygnębienie. Ale może i oni nie mieli wielkiej ochoty, by go do siebie zapraszać. Może ich rodzice obawiali się, że coś by im podwędził. A może chcieliby mu zaraz wcisnąć coś do zjedzenia, żeby zabrał to ze sobą. Jakby nie było, czułby się z tym źle.

Gdy tylko Morten zapiął plecak, ujrzał tuż przy swoim ramieniu Andreeasa. Kolega wcisnął mu w dłoń stertę ulotek.

– Ty weźmiesz te! Pójdiesz na drugie, ja na trzecie, a potem się spotkamy!

Morten skinął głową, choć sądził, że będą je roznosić razem. Ale oczywiście osobno pójdzie im to szybciej. No



i Andreas nie musiał wiedzieć, że on wciąż nie czuł się tutaj pewnie. Miał wrażenie, jakby był ze szkła i każdy mógł zajrzeć do jego wnętrza. I zobaczyć, że jest tam tylko pustka – albo przytłaczająca niepewność siebie. I to, że za każdym razem, gdy ktoś się do niego zwraca, serce bije mu jak szalone.

– Hej! Niedługo w szkole będzie... – powiedział, czerwieniąc się i wyciągnął rękę z ulotką w stronę dwóch dziewczyn, które szły naprzeciw korytarzem. Nie odważył się jednak, by spojrzeć im w oczy.

Bo się ich bał.

Oczywiście nie dał tego po sobie poznać. Zazwyczaj, rozmawiając z dziewczynami, dawał z siebie dwieście procent – chciał mieć pewność, że żadna nie będzie go podejrzewać o strach. O to, że on cały czas się boi, że zaczną się wyśmiewać z jego dziwnych ciuchów. Albo że sądzi, że rozmawiają z nim z innego powodu – dlatego, że jest niegroźny, i w rzeczywistości żadna z nich nie chciałaby się z nim za żadne skarby umówić – i dlatego nigdy nie trzeba się przy nim wysilać.

Morten pojął, że chyba zdążył już zrobić coś nie tak. Dziewczyny wciąż przed nim stały i nie zamierzały odchodzić.

Chłopak podniósł wzrok. W tej chwili był nawet bardziej zdziwiony niż przestraszony.

– Macie jakieś pytania? – bąknął w kierunku tej jasnowłosej, patrząc wprost na nią.

Dziewczyna przytaknęła.

– Masz ekstra kurtkę. Chciałam zapytać, gdzie taką dorwałeś?

Morten zbladł. W końcu stało się to, czego się obawiał. Tego, że zaczną sobie dowcipkować z jego wyglądu. Z używanych ciuchów, które nosi. Z lumpeksu – co z tego, że z fińskiego.

– W Finlandii – rzucił krótko Morten i zostawił dziewczyny na korytarzu. Postanowił, że znajdzie Andreasa i odda mu te wszystkie ulotki.



